

KRYSTAŁOWE



2019

SMOKI



ANTOLOGIA

KRYSTAŁOWE SMOKI 2019

Antologia

Kraków 2020

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski

Redakcja: Agata Bisiecka, Karolina Grzeszczak

Korekta: Aleksandra Buczyńska, Kinga Grodzka,

Karolina Grzeszczak, Kaja Jaroszevska, Katarzyna Płońska,

Paweł Sadowski, Ilona Skrzypczak, Agnieszka Stawarczyk,

Paulina Szedler, Maciej Sznurkowski, Dominika Świętkowska

Koordinacja działu redakcji: Anna Dudala, Karolina Grzeszczak,
Magdalena Świerczek-Gryboś

Koordinacja działu korekty: Kaja Jaroszevska, Alicja Podkalicka

Koordinacja działu weryfikacji: Anita Brzozowiec,

Małgorzata Lisiecka, Damian Szandecki

Koordinacja działu recenzji: Anna Baj, Magdalena Piniak

Koordinacja działu ilustracji: Anita Brzozowiec,

Magdalena Świerczek-Gryboś

Koordinacja działu audio: Magda Brumirska-Zielińska

Koordinacja działu marketingu: Marta Szymczyk

Koordinacja działu tłumaczeń: Alicja Janusz

Ilustracja na okładce: Joanna Wasilewska

Projekt typograficzny okładki: Kamila Dankowska

Skład i łamanie: Kinga Grodzka

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN:

ePub: 978-83-66058-37-8

mobi: 978-83-66058-38-5

PDF: 978-83-66058-36-1

Oprawa miękka: 978-83-66058-39-2

Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formie.

Uznanie autorstwa – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

Bez utworów zależnych – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

**Tej książki nie można kupić. Skąd więc się u Ciebie
wzięła? Dowiesz się na ostatniej stronie.**

SPIS TREŚCI

Przedmowa	11
Układ czasowy	13
Alicja Huk	
Czwarta zwrotka	19
Maria Bieszczad	
82°55'50" W. D.	25
Katarzyna Hajok	
Mungo	35
Zuzanna Kania	
Świadomość żmii	43
Mika Modrzyńska	
Monotonia 8:11	51
Martyna Nowak	
Royal Casino Club	55
Wiktor Orłowski	

Fantazmaty są tworzone przez:

Redaktorzy: Anna Baj, Agata Bisiecka, Magda Brumirska-Zielińska, Anita Brzozowiec, Justyna Dąbrowska, Anna Dudało, Sylwester Gdela, Michał Gola, Karolina Grzeszczak, Katarzyna Hajok, Wojciech Karasiński, Alicja Kielczewska, Anna Maria Kottas, Magdalena Kucenty, Aleksandra Machnowska, Krzysztof Matkowski, Jarosław Skurzyński, Damian Szandecki, Marta Szymczyk, Magdalena Świerczek-Gryboś, Dawid Wiktorski

Korektorzy: Maria Bernaciak, Aleksandra Buczyńska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Katarzyna Homoncik, Kaja Jaroszevska, Bożena Kleszcz, Katarzyna Kon, Katarzyna Płońska, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszevski, Paweł Sadowski, Ilona Skrzypczak, Agnieszka Stawarczyk, Dominika Szachowicz, Paulina Szedler, Maciej Sznurkowski, Dominika Świątkowska, Maria Truś, Matylda Zatorska

Weryfikatorzy: Agata Bisiecka, Anita Brzozowiec, Agnieszka Chodkiewicz, Mariusz Flejszar, Aleks Gapski, Joanna Gasińska, Karolina Gębska, Magdalena Gibiec, Patrycja Gil, Michał Gola, Lidia Gręda, Paulina Grzybowska, Marcelina Kopaczka, Anna Maria Kottas, Magdalena Kowalewicz, Aleksandra Krasieńska, Martyna Kurowska, Małgorzata Lisiecka, Monika Łaba-Kaźmierczak, Jakub Moroński, Malwina Niewielska, Patrycja Pancierz, Ilona Skrzypczak, Damian Szandecki, Anna Twarowska

Recenzenci: Anna Baj, Agnieszka Chodkiewicz, Jędrzej Cichocki, Tymoteusz Czyż, Szymon Góraj, Magdalena Kiąca, Aleksander Killman, Aleksandra Klęczar, Magdalena Kowalewicz, Małgorzata Królikowska, Monika Kruszyńska, Martyna Kurowska, Małgorzata Lisiecka, Anna Minge, Marek Młodzikowski, Daria Niemoja, Marcin Piecyk, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Magdalena Skierska, Klaudia Sowiak, Selene Streich, Paula Wanarska, Jakub Węgrzynowski, Karolina Wojciechowska, Anna Wybraniec

Graficy: Emilia Baczyńska, Kamila Dankowska, Marta Szymczyk

Webmasterzy: Marta Szymczyk, Dawid Wiktorski

Lektorzy: Amelia Borowiak, Mieszko Keck, Aneta Kosno, mako, Justyna Sadczuk, Katarzyna Ziółkowska

Social Media Ninja: Magdalena Czerniak, Sylwester Gdela, Marta Szymczyk

PRZEDMOWA

Jeszcze wcale nie tak dawno temu pisałem przedmowę do *Fantazmatów 1*. Była krótka, nawet bardzo – nie lubię pisać przedmów, bo nigdy nie wiadomo, co należy w nich zawrzeć, na co zwrócić uwagę (a przecież całość powinna być stosunkowo krótka!).

Dziś tworzę przedmowę do *Kryształowych smoków 2019*, antologii po-konkursowej, którą postanowiliśmy przygotować, gdy pierwszy wydawca opowiadań zakończył swoją działalność. To antologia dość szczególna w historii *Fantazmatów* – zdecydowanie najkrótsza (co jest nawet zabawne, biorąc pod uwagę, że do tej pory prym w tej kategorii wiodły już z założenia króciutkie *nanoFantazje*). To zarazem pierwszy zbiór, w którym prezentujemy aż tyle dzieł autorów niepełnoletnich – z wcale niełatwą tematyką czasu poradzili sobie naprawdę sprawnie i pomysłowo. No i w końcu – to jubileuszowa, bo dziesiąta antologia *Fantazmatów*.

Wraz ze wszystkimi odpowiedzialnymi za nie osobami oddaję w Wasze ręce siedem opowieści i siedem wizji postrzegania czasu. Czasami refleksyjnych, czasami zabawnych, niekiedy nawet upiornych.

Miłej lektury!

Dawid Wiktorski

UKŁAD CZASOWY

Alicja Huk

Piękna srebrzysta kula unosiła się przede mną, odbijając światło gwiazd. Obróciłam ją jeszcze kilka razy, tak dla pewności, że nigdzie nie ma niepożądanych rys. Zadowolona ze swojego dzieła, delikatnie popchnęłam je na właściwą orbitę i przyglądałam się, jak odnajduje rytm, w którym przeznaczono mu trwać.

Kątem oka dostrzegłam, jak Ten Drugi opętańczo macha rękami. Zdawało mi się, że coś do mnie krzyczał... „Odsuń się”? Niby dlaczego miałabym się odsunąć?

Nagle z ogromną prędkością przeleciał koło mnie rozżarzony do czerwoności głaz, a potem kolejny, i jeszcze jeden. Usunęłam im się z drogi, jednocześnie zbliżywszy się do Tego Drugiego. Coś mamrotał, że dobrze, że nic mi nie jest, ale nie zwracałam na niego uwagi. Bezradna patrzyłam, jak skały pozostawiają po sobie kratery na idealnie wypolerowanej powierzchni mojego dzieła.

Tymczasem on stał obok i wyglądał na wielce zadowolonego z siebie. To znowu jego sprawka! Dlaczego? Dlaczego niszczy wszystko, co zrobię?! Jak tak dalej pójdzie, projekt zostanie zamknięty. Po co ja się w ogóle męczę, jeśli on i tak chwilę później niweczy moje dzieło?! Zawrzemy jakiś układ albo z tym kończę!

Porozumienie zawarte między Stronami ma na celu usprawnienie pracy nad projektem „Ziemia”. Strony zobowiązują się przestrzegać postanowień Układu aż do momentu ukończenia Projektu. (...)

§

Nareszcie nastał spokój. Nikt mi nie przeszkadzał, mogłam spacerować po powierzchni planety, którą tworzyłam. Powoli, w wielkim skupieniu wznosiłam wokół siebie mury z majestatycznych gór. Zadbałam o proporcje i część wielkich równin pozostawiłam nienaruszoną. Miałam zamiar poprowadzić tamtędy rzeki, posiać trawy i zasadzić lasy. Na razie jednak wokół mnie wypiętrzała się kamienna korona planety. Jeszcze wzniesienie tutaj, tam trochę wygładzić...

Nagle poczułam delikatny dotyk na ramieniu. On znowu czegoś ode mnie chciał. Niechętnie obróciłam głowę w jego stronę. Szczyrzył się, wskazując na zegar. To już? Wydawało mi się, że ledwie zaczęłam. Jak ten czas szybko leci!

14

§

Strony zostają ograniczone w swej działalności Czasem. Czas przysługuje obu Stronom w równej ilości. Podczas trwania Czasu jednej ze Stron druga Strona nie będzie ingerowała w projekt. Od momentu podpisania Układu przez Strony Czas będzie główną i bezwzględną miarą obowiązującą Strony oraz wszystko, z czym Strony wejdą w interakcję. (...)

§

Gdy minęły przydzielone mu godziny, wróciłam do pracy. Już z daleka czuć było żar bijący od planety. Hm, czyżby wreszcie zrobił coś dobrego?

Dodał do projektu ciepło. Trochę za dużo, ale to nic. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Im bliżej planety byłam, tym goręcej się robiło. Nad jej powierzchnią widniała roziskrzona łuna, a z oddali co chwilę dobiegały głuche uderzenia. W końcu znalazłam się na tyle blisko, by zobaczyć, co tam się działo.

Majestatyczna, dopracowana w każdym calu, sięgająca nieba korona... zniknęła. Szczyty gór ginęły w kłębach gęstego, czarnego dymu.

Po stokach spływała lava. To ona była taka ciepła! Płynęła żlebami przygotowanymi dla rzek, mieniając się zabójczą czerwienią i fałszywym złotem. Z gór nic nie zostało! Poharatał je, zniszczył, wysadził! Zamiast oszlifowanych czubków widziałam teraz kratery, postrzępione granie! Ach! Cofnąć to, odczynić! Ale nie mogę... Układ mi zabrania.

Wybuchy mnie ogłuszyły. Odłamki skał zostawiły siniaki na mojej skórze, gdy przyglądałam się efektom pracy Tego Drugiego.

Ostudziłam lawę, która następnie zastygła w groteskowe formy. Udoskonaliałam brutalnie stworzone jaskinie: dodałam im kamienne zęby, dzięki którym zyskały na drapieżności, stworzyłam echo, by nigdy nie panowała w nich śmiertelna cisza, a w liczne pęknięcia wprawiłam błyszczące kamienie, by zaleczyć poszarpane rany.

15

§

Czas, na mocy tego dokumentu, określał będzie kolejność zdarzeń. Strony zgadzają się na nietykalność i niezmienność Czasu w obliczu prób czyjejkolwiek ingerencji. (...)

§

Projekt był bliski zakończenia, a planeta ciągle jeszcze stygła, więc zalałiśmy ją oceanami. Wysoko w górach stworzyliśmy źródła i poprowadziliśmy strumyczki tak, by połączyły się w rwące rzeki, tym zaś wskazaliśmy drogę do jezior i mórz. Pierwszy raz robiliśmy coś razem, ale tylko dlatego, że Ten Drugi nie dałby sobie rady ze zmaterializowaniem i kontrolowaniem takich ilości wody jednocześnie. Oczywiście nie pomogłabym mu, gdyby nie było to konieczne.

Po jakimś czasie temperatura spadła na tyle, że postanowiłam podjąć pierwsze – jak się później okazało – nieudane próby stworzenia życia.

Coś najwidoczniej wciąż nie było ukończone...

§

Naturą Czasu będzie nieprzerwanie płynąć, nie zatrzymywać się i nie zwracać. (...)

§

Wiem, że nie powinnam była podglądać, jak pracuje. Oboje mamy swoje tajemnice i techniki doskonalone od wieków, ale to było takie piękne...

Przez długi czas nic nie robił. Stał tylko na wzgórzu. Gdy już miałam wyjść i zarzucić mu objanie się, drgnął i dmuchnął lekko w moją stronę. Owionął mnie wiatr – poruszył kosmyki włosów i rąbek mojej szaty. Planeta odetchnęła, a ja – zawstydzona tym, że Ten Drugi mnie dostrzegł – odleciałam na orbitę, aby przyglądać się subtelnym zmianom, które wprowadził tym jednym oddechem.

W pewnym momencie pobliska gwiazda wyrzuciła z siebie strumień energii, większy niż zwykle, który musnął nowo powstałą atmosferę. Nic szczególnego nie powinno się wydarzyć, a jednak wokół bieguna pojawił się wielobarwny krąg. Zielone wstęgi snuły się nad lodem, zwiąły w niespotykane kształty, by chwilę później rozwiać się w nicość i pozostawić po sobie tylko mój niemy zachwyty.

§

Czas dzielić się będzie na jednostki o określonej i nieokreślonej długości. Najczęściej spotykane jednostki pierwszej kategorii to: sekundy, minuty i godziny. Drugą kategorię natomiast obejmuje chwile i momenty, podczas których Strony lub istoty, z którymi Strony kiedykolwiek wejdą w interakcję, przeżywać będą intensywne emocje. (...)

Uzgodniliśmy, że ponieważ zobaczyłam, jak pracował, on też ma prawo raz przyjrzeć się mojej pracy. Dlatego, gdy następnym razem pojawiłam się na Ziemi, nie odstępował mnie na krok. Nie odezwał się słowem, chociaż długo szukałam idealnego miejsca na kolejny etap stworzenia. Wreszcie zatrzymałam się bardzo blisko punktu, w którym zaczęliśmy poszukiwania. Kątem oka patrzyłam, jak zareaguje. Oczekiwałam drwin lub chociaż zniecierpliwienia, ale Ten Drugi był całkowicie spokojny i tylko wpatrywał się we mnie uważnie. Zmieszana odchrząknęłam cicho i już więcej na niego nie spojrzałam.

Ziemia była na wykończeniu. Stałam po kolana w morzu, przygotowując się na ten najtrudniejszy moment. Podjęłam jeszcze jedną próbę stworzenia życia. Witałam w myślach kolejne istoty – najpierw te malutkie, których nie sposób dostrzec gołym okiem, później większe, pływające z zaciekawieniem wokół moich kostek. Podobnie sprowadziłam zwierzęta na wyspy i łądy w głębi kontynentu. Powołałam do życia trawy i pierwsze krzaki, owady i śpiewające ptaki. Pomogłam wykopać norki pierwszym gryzoniom i uwolniłam konie na stepach. Gdy skończyłam, usiadłam wśród pierwszych kwiatów. Patrzyłam na gwiazdy, powoli wschodzące na niebo. Zupełnie zapomniałam o jego obecności, ale on nadal był przy mnie. Skinął w moją stronę z podziwem, ale powiedział, że nie skończyłam tworzyć życia. Zmarszczyłam brwi, próbując domyślić się, o czym mogłam zapomnieć. Ten Drugi jedynie wzruszył ramionami, twierdząc, że nieważne, bo to i tak było jego zadanie.

Uśmiechnął się do mnie smutno i stworzył drapieżniki. Wody zaludniły potwory o zabójczych szczękach, a po stepach pobiegli pierwsi myśliwi z pazurami i kłami. Pierwszy skrzydlaty łowca przeleciał nade mną, niosąc pieśń wojny.

Każda istota żywa, która wywodzi się ze stworzonych przez Strony zwierząt, ograniczona jest Czasem. Czas przyznaje się istocie w momencie narodzin w postaci chwil, momentów, minut, godzin i lat.

Czas nie może zostać istocie odebrany ani dodany.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka

Korekta: Kinga Grodzka, Agnieszka Stawarczyk, Kaja Jaroszevska,
Paweł Sadowski

Weryfikacja: Ilona Skrzypczak, Magdalena Kowalewicz, Michał Gola,
Anna Maria Kottas, Damian Szandecki

Szczytywanie: Ilona Skrzypczak

CZWARTA ZWROTKA

Maria Bieszczad

Rozglądam się na boki: najpierw w prawo, później w lewo. Ulica jest dość szeroka i – mimo pory dnia – spokojna. Żadnych aut, zresztą ludzi też niewielu, a powinny być straszne korki. W moich uszach brzmią ostatnie słowa drugiej zwrotki, więc przewijam piosenkę, przytrzymując przycisk na słuchawkach.

Muszę ją usunąć z biblioteki utworów – w sumie jest już nie w moim stylu. Za to następną odkryłam całkiem niedawno i obecnie należy do moich ulubionych:

*Made a meal and threw it up on Sunday,
I've got a lot of things to learn,
Said I would and I'll be leaving one day,
Before my heart starts to burn¹.*

Wokalista nie zaczął jeszcze krzycheć na całe gardło, jak zwykł to robić parędziesiąt sekund później, dlatego mogę akurat usłyszeć charakterystyczny dźwięk sygnalizacji. Zielone – nareszcie! Ileż można czekać?

Ruszam przed siebie. Przekraczam kolejny pas jezdni, gdy zaczyna się najlepsza i najgłośniejsza zarazem część piosenki, refren:

¹ Oasis – „Stand by me” (przyp. autorki).

Stand by me, nobody knows the way it's gonna be.

Akurat wtedy całą tę muzyczną harmonię zagłusza dźwięk powiadomienia. Wyjmuję z tylnej kieszeni komórkę. „Co było zadane z matematyki?”

Oni zawsze o to pytają. Każdego. Jednego. Dnia. Naprawdę, czy to tak trudno zapisać pół linijki w zeszytce?! Korona z głowy spadnie?!

„Kartka z lekcji” – odpisuję krótko.

Tymczasem zdążyłam już stanąć na wysepce między dwoma przejściami i przeczekać kolejne czerwone (nie, to wcale nie tak, że nie da się normalnie przejść przez całą ulicę spacerkiem – ale ja przecież nie będę biegła, mam jeszcze swoją godność; poza tym naprawdę nigdzie mi się nie spieszy). Odpowiedź „Dzięki” otrzymuję idealnie wtedy, gdy przechodzę przez kolejne pasy.

Gdyby nie ona, pewnie w ogóle nie usłyszałabym nadjeżdżającego samochodu. Chwilę później, tuż przed swoją twarzą, widzę czerwień na jego białej masce, dobrze widoczną dzięki jaskrawym światłom na tle zimowego wieczora.



Druga zwrotka. Refren. Trzeba przewinąć i może wreszcie usunąć stąd tę piosenkę. Nagle pojawia się zielone światło.

Pusta ulica, zero ludzi. Stawiam krok przed siebie, jednak bardzo szybko się cofam.

Nie, przecież już przechodziłam przez to przejście. Jakąś minutę temu słuchałam tej piosenki. Sprawdzam godzinę; wszystko się zgadza.

Czyżby oglądanie seriali do trzeciej nad ranem jednak nie wychodziło mi na dobre? Jestem aż tak zmęczona? Zasnęłam? Na stojąco? Na chodniku? Wyobraziłam to sobie? Przecież dobrze pamiętam, że to się zdarzyło naprawdę!

Z drugiej strony – co to za sen, w którym wiesz, że śpisz? Mogłam przecież przez przypadek zobaczyć wcześniej, jaka będzie następna

piosenka, i podświadomie to wszystko sobie wmówić. Może naprawdę jestem zmęczona...?

Nie przechodzę przez pasy. Mija minuta i wokalista śpiewający mój ulubiony utwór dochodzi wreszcie do refrenu. Dokładnie wtedy otrzymuję powiadomienie.

„Co było zadane z matematyki?”

Przełykam ślinę. Nie chcę tego widzieć.

Taką wiadomość można bardzo łatwo przewidzieć we śnie, prawda? W końcu zawsze o to pytają.

Dla pewności przez dłuższy czas stoję przed przejściem. Przychodzi następne powiadomienie – ktoś pewnie odpowiedział, skoro ja tego nie zrobiłam. Cała drzę. To niedorzeczne.

Tym razem przełączam piosenkę trochę później, więc to nie jest nawet ten sam moment, co we śnie. Głupi zbieg okoliczności. Bujna wyobraźnia.

Stoję tak jeszcze chwilę, na wszelki wypadek. Biały samochód nie nadjeżdża.

Całkiem już uspokojona przechodzę przez pasy na następnym zielonym. Wokalista znów zaczyna śpiewać refren:

*Stand by me, nobody knows the way it's gonna be,
Stand by me, nobody knows the way it's gonna be,
Stand by me, nobody knows the way it's gonna be,
Stand by me, nobody knows,
Yeah, nobody knows, the way it's gonna be.*

W tym samym momencie przychodzi kolejne powiadomienie. Niezbyt zdaję sobie sprawę z tego, co właśnie robię, i wyciągam z kieszeni komórkę. „Dziękuję” – widzę na jeszcze zablokowanym ekranie.

Zanim zdążę chociaż stanąć na wysepce, znów pojawiają się i światła, i uderzenie, i biała maska.



Druga zwrotka, refren. Pusta ulica, żadnych ludzi. Pasy. Czy to był jakiś żart?!

Bardzo śmieszne.

Od kiedy to we śnie zastanawiasz się, czy przypadkiem nie śpisz?!

Co mam robić?! Zaczynam gorączkowo myśleć. Jak doprowadzić do tego, by ten koszmar wreszcie się skończył?!

Piszę rodzicom, że bardzo źle się czuję i proszę, by po mnie przyjechali. Musiałabym czekać na kogoś z nich przynajmniej pół godziny, stojąc jak głupia na ulicy, ale jestem na to gotowa – wszystko, byleby nie przechodzić już przez żadne pasy.

Wyłączam piosenkę i chowam słuchawki. Siadam na schodkach przed pobliską kamienicą. W końcu pojawiają się tu jacyś ludzie i samochody, ale z ulgą odkrywam, że nie ma wśród nich żadnego białego auta.

Obserwuję, co dzieje się na ulicy. Wszystko wygląda zupełnie normalnie. Mam nadzieję, że tym razem nic złego się nie stanie, tym bardziej, że zaraz przyjadą rodzice.

Sprawdzam godzinę na telefonie. Powiadomienia o zadaniu z matematyki powinny przyjść już dawno temu, ale grupa klasowa milczy, mimo że mam cztery kreski zasięgu LTE – to w końcu środek miasta.

Szybko upewniam się, że nadal nie widać żadnych białych samochodów. Ruch na ulicy jest już całkiem duży, więc ludzie zaczynają mi się przyglądać: siedzę sama, trochę jeszcze drzę i jestem zdecydowanie zbyt blada jak na żywą osobę. Mój plecak jest stanowczo zbyt drogi, by wziąć mnie za bezdomną.

Zaczyna mi się już nudzić – nigdy nie byłam mistrzynią koncentracji – więc znowu wyciągam słuchawki.

Stand by me, nobody knows,

Yeah, God only knows, the way it's gonna be.

Rozpędzony biały samochód wjeżdża na chodnik. Znowu uderzenie. Czerwień na białej masce.



Druga zwrotka. Usuwa piosenkę z biblioteki.

Następną też. Tak dla pewności.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka

Korekta: Kinga Grodzka, Paulina Szedler, Kaja Jaroszevska, Paweł Sadowski

Weryfikacja: Joanna Gasińska, Magdalena Kowalewicz, Patrycja Pancierz, Jakub Węgrzynowski, Damian Szandecki

Szczytywanie: Ilona Skrzypczak

82°55'50" В. Д.

Katarzyna Hajok

Jeszcze w XX wieku granica między piątą a szóstą strefą czasową przebiegała wzdłuż syberyjskiej rzeki Ob, płynącej przez Nowosybirsk. W 1955 roku wzniesiony został Most Komunalny, a reguły czasu uległy rozmyciu.

Dla większości mieszkańców miasta zmiana ta nie stanowiła problemu. Część ludzi pozostała rozdarta.

25

Kto bowiem wątpi, podobny jest do fali morskiej, przez wiatr tu i tam miotanej. Przeto niechaj nie mniema taki człowiek, że coś od Pana otrzyma, człowiek o rozdwojonej duszy, chwiejny w całym swoim postępowaniu.

Jk 1,6–8²

– A ciebie co za czart naszł?

– Ja od duchoborców.

Babuszka wyjrzała z mieszkania na korytarz, na którym czekałam. Przebiegła spojrzeniem po odrapanych ścianach i zielonych zaciekach. Przeniosła wzrok na mnie, zmrużyła oczy, zacisnęła szpony na moim ramieniu i szarpnęła z werwą, jakiej trudno się spodziewać po kimś tak starym.

2 Biblia: Pismo Święte Starego i Nowego Przymierza, wyd. I (red. zbiorowa), Logos Media we współpracy z Ewangelicznym Instytutem Biblijnym 2016.

Wpadłam do mieszkania.

Wzrok dopiero po chwili przyzwyczał mi się do półmroku, a potem zatrzymał na dwóch metronomach rozstawionych pod domowym ikonostasem. Wahadła błyskały to w lewo, to w prawo.

Usłyszałam, jak w drzwiach przekręca się klucz.

Dostałam gęsiej skórki. Choć byłam sam na sam z małą, poskręcaną i zdałoby się, bezbronną kobietą, i tak pożałowałam, że nie mam ze sobą choćby nożyczek do paznokci.

Stałam twarzą do niej. Zmarszczyła nos, jak gdyby chciała wyęszczyć, co mi dolega. Potem podeszła bliżej ikonostasu i ponownie zmrużyła oczy.

– Zdezintegrowałaś mi pieroństwo o ćwierć cala. – Wskazała metronom. – Dezinte. Zinte.

– Ja nic nie robię. To samo przychodzi.

Babuszka przeżegnała się trzy razy i zasłoniła piękny kącik z ikonami.

– Ty balet tańczysz, co? Chude lico u ciebie.

Chciałoby się. Nie stałam na scenie już od miesiąca, oczywiście na skutek tej cholernej słabości, którą próbowałam wyplenić, odkąd pamiętam. Wagi zaś nigdy nie poczytywałam sobie za sukces, raczej za wypadkową zbyt niskiego budżetu i zbyt wielu *grand jeté*.

– To pewno ci się przydaje, jak tańczysz?

– Czasem wiem, co się stanie za moment.

Kaszlnęła, a może tylko maskowała śmiech. Podeszła bliżej.

– Ty – babuszka tyknęła mnie w pierś – dawno to masz?

Nie odpowiedziałam. Jej dotyk zatrzymał mnie w jednym czasie. Wtem strzyknęło mi w karku, a kolana się pode mną ugięły.

Ziemia pękła rozstąpiła się wpadłam w ciemność wyskok relevé grand battement

Straciłam równowagę i gruchnęłam o podłogę.

Dym ze świecy cerkiewnej podrażnił mój nos. Uniósłam głowę. Babuszka nie wyglądała na zadowoloną. Trudno się dziwić – na jej ocieplanych sapogach właśnie wylądowała zawartość mojego żołądka.

– Który rocznik?

- Co mówicie? – kaszlnęłam.
- Który rocznik?! – zaskrzeczała.
- Pięćdziesiąty piąty.

Cmoknęła.

Dźwignęłam się i zatoczyłam na stół. Pewnie zrobiłam się cała czerwona, ale w mieszkaniu nie było luster, więc nie mogłam się upewnić.

Całą powierzchnię ścian zajmowało ocieplenie z dywanów.

Starsza się przeżegnała. Jej oczy robiły się coraz większe.

- Pomóżcie jakoś – poprosiłam. – Dajcie choćby kredę.

- Na ciebie nawet kreda tu nic nie pomoże.

Kaszlnęłam. Wizja niebezpiecznie zamigotała.

(Uważaj na nią. To mi się nie podoba).

- Nic tu po tobie, serdeńko. Ale nie martw się. – Wyszczrzyła ostatnie trzy zęby, jakie pozostały jej w dziąsłach. – Jeśli ktoś ma się o ciebie upomnieć, to przyjdzie.

Łupnęło mi w kościach.

- Do mnie żaden duchoborca nie przysyła. Ja wiem, żeś nakłamała. Ale spokojnie. Już my sobie z tobą poradzimy.

Czyjeś ręce złapały mnie od tyłu, zasłoniły usta, a potem prawdopodobnie dostałam w głowę i straciłam przytomność.



Zawsze mogło być gorzej, a już szczególnie mogło być gorzej, jeśli chodzi o śmierć w tym kraju. Mogłam umrzeć w czasach masakry nowogrodzkiej. Albo blokady Leningradu. Albo po prostu żyć w Norylsku, gdzie powoli dusiłyby mnie nikiel, siarka i czarny śnieg.

Dlatego, kiedy zorientowałam się, że fanatyczny odłam nowosybirskiej sekty duchoborców zamierza mnie po prostu utopić na Nabrzeżu Michajłowskim pod osłoną nocy, poczułam swego rodzaju ulgę.

- A wtedy Kościej Bezśmiertny przemówił – zaintonował najwyższy z brodaczy po prawej. – I zapragnął ofiary.

Kościej?

Szarpnęłam się na drewnianym pomoście, a wtedy ręce zluźowały uścisk, pchnęły mnie w plecy i zrzuciły do wody.

Ciemna, lodowata toń prysnęła we wszystkie strony. Wykrztusiłam resztkę powietrza, wierzgnęłam nogami, jedną stopą wyczułam mulisty grunt, a potem wszystkie moje mięśnie jednocześnie skręciły się i zapłonęły. Powietrze wdarło mi się do płuc.

Usłyszałam jeszcze strzały.



– Szutkina? Wiera!

Parsknęłam wodą i drobkami piasku prosto w twarz Kiryłła Wazniecowa. Inspektor otarł sobie twarz.

– Wszystko w porządku? – Potrząsnął mną.

– Skąd wy tu? – charknęłam.

– Patrowaliśmy brzeg.

Zza pleców Kiryłła wyszedł naczelnik Tieriakin. Nawet nie wyglądał na zmieszanego.

– Wstaniecie sami?

Splunęłam i skinęłam głową. Tieriakin uniósł brwi, chyba nie spodziewał się, że tak szybko dojdę do siebie. Kirył utkwił we mnie wzrok. Z członkami sekty rozprawiali się normalni inspektorzy o stalowych oczach, ale ci dwaj, Wazniecow i Tieriakin, byli inni.

Naczelnik prychnął.

– Mielicie tu się już nie pałętać.

– To oni mnie tu dopaęćtali. Sprawdzałam jeden kontakt. Zaczaili się. Cholerna nadbabuszka syberyjskiej mafii topielców.

Wykaszałam resztę wody.

– Siadajcie, Szutkina. – Tieriakin wskazał drzwi milicyjnej wołgi.

Załadowaliśmy się do samochodu we trójkę.

– Złapaliście ich wszystkich? – spytałam.

– Jest jeszcze jakaś trójka świątobliwych starców. I ta starsza, chyba ona wszystkim zawiaduje. Cieszcie się, że Wazniecow się o was martwił. Wiercił mi dziurę w brzuchu tak długo, że ruszyliśmy was szukać.

– Muszę przyznać, że przyszlście tu w ostatnim momencie.
– Na pewno wszystko w porządku? – zatroskał się Kirył.
– Wazniecow, o naszą baletnicę w niełasce się nie kłopotcz. Właśnie, Szutkina, jak tam sprawy artystyczne?

Skrzyżowałam ręce na piersiach.

– Upadki się zdarzają.
– Żeby to był tylko upadek! – Tieriakin parsknął śmiechem. – Nie zapominajcie, że siedziałem na widowni podczas waszego fiaska. Nie dziwię się, że was wyrzucili z zespołu. Kompletnie niezrównoważona.

Ani ja, ani Kirył się nie odezwaliśmy.

– Ale opłaciło się wykorzystać was, Szutkina, jako wtykę w naszej walce z sekciarstwem – paplał dalej Tieriakin. – Macie taki nawiedzony wygląd. Słuchajcie, jak już dzięki wam dorwiemy tego Kościeja, to załatwię wam taki kontrakt w Moskwie, że te wasze buty do stania na palcach to się zapalą.

(O ile dożyjesz tych czasów).

Naczelnik nacisnął gaz. Czerwone strzałki na desce rozdzielczej zadygotały.

Obserwowaliśmy przez szyby, jak członków sekty zabierają do samochodów. Babuszka odwróciła głowę i wyszczerzyła do mnie zęby. Przełknęłam ślinę.

– Jedziemy na komisariat? – bąknęłam.

– Muszę od was spisać zeznania. Może jeszcze gdzieś krążą niedobitki tych sekciarzy. Gospodi Boże, jakie to miasto jest brzydkie – mruknął Tieriakin. Wjechał na szosę.

Za oknami było ciemno.

Tieriakin wierzył, że to on przekonał mnie do współpracy z władzą. Pewnie sądził, że to dzięki jego perswazji walczę z kolejnym odłamem sekty, ale ja naprawdę miałam nadzieję, że starsza pani może mi pomóc z większym problemem.

Spróbowałam zachować kamienną twarz. Wyjrzałam przez okno. Zmierzaliśmy w stronę mostu; Nowosybirsk wyglądał jeszcze smętniej niż zwykle, a mnie znów kończyły się papierosy.

Tak bardzo nie chcę, by na widowni siedział ten krytyk z Moskwy.
(*Moskwa?*).

Wjechaliśmy na most. Coś szarpnęło i w tej sekundzie samochód stanął.

Cały świat stanął.

Wazniecowa zastygł na siedzeniu obok.

Tieriakin znieruchomiał.

Odetchnęłam głęboko, kiedy poczułam, jak krew wraca do właściwych żył. Uspokoiliłam się. Odpięłam pasy, stanęłam na jezdni i trzasnęłam drzwiami. Poszperałam w kieszeniach i po chwili zaciągnęłam się cudem znalezionym i pysznie smolistym papierosem bez filtra marki Prima.

Most był strefą zawieszenia broni. A ja potrzebowałam chwili dla siebie.

– To co robimy? – spytałam, spacerując między zatrzymanymi w czasie samochodami i pieszymi Mostu Komunalnego.

(*Masz problem, że czasem machnę ci nóżką za mocno?*).

– Ustaliliśmy, że nie wchodzimy sobie w ciało podczas spektakli. Gdyby ci wtedy nie strzeliło do głowy, żeby zacząć pomykać po scenie w przypadkowych kierunkach, wciąż kręciłybyśmy się na scenie w tiulowym tutu. A tak musimy współpracować z rządem.

Wyszczrzyłam dumnie zęby, ale zaraz zamieniłam uśmiech w grymas i warknęłam na siebie.

Spojrzałam na barierkę, za którą rozpościerał się widok na wstrzymaną rzekę, a potem podniosłam wzrok. W powietrzu, z uniesionymi skrzydełkami, zawisły trzy rudziki. Miałam właśnie pod nimi przejść, a potem dokończyć fajkę i wracać do wozu, gdy jeden ptaszek rozpaczliwie zakwilił i spadł u moich stóp.

Bezcenny papieros zatrzymał się w drodze do warg.

Zerknęłam za siebie. Most zaszedł mgłą. Nie było widać krańca, z którego przyszedłam. Przełknęłam ślinę i odwróciłam głowę z powrotem.

Stał naprzeciwko mnie.

Ani drgnęłam.

– Ty kto?! – krzyknęłam.

Postać zrzuciła z ramion szynel, a następnie w ułamku sekundy pokonała dystans między nami.

– To ja podzieliłem czas – przemówił Kościej i spojrzał mi w oczy.

Rzeka Ob wystrzeliła w górę wysoko ponad most i falą przetoczyła się nad nami. Zmiotło mnie na kolana. Jezdnia pękła.

Kościej złapał mnie za gardło dłonią pokrytą liszajami.

– Co wie władza?

– Nie wiem – wykrztusiłam.

– A wyglądało, jakbyście się polubili.

– Ich interesuje tylko, by wytępić sekty. Wiedzą, że ze mną jest coś nie tak, ale pewnie nawet nie wierzą w czas.

– Naród ateuszy – prychnął Kościej. – Dziwię się, że władze zaangażowały się w cokolwiek, czego nie da się objąć rozumem.

– Ja też nie chciałam się w to angażować – wymówiłam z trudem, bo kościste palce wciąż obejmowały moje gardło.

– Wiem.

Wrócił mi dech. Odkaslnęłam. Ostatnio stanowczo za często ktoś mną pomiata.

– Irytuje mnie, że zastawiacie pułapki na moich ziemskich popleczników. Ale szanuję, że ci się to udało. Ty jesteś ta z rozdwojonego czasu?

Skinęłam.

– Rodzice z przeciwnych stron mostu. Miotam się między jednym czasem a drugim.

– To oczywiście. Twoja dusza jest rozdwojona. Przepołowiona. Rozdarta. Zbezczeszczona. Splugawiona. I potępiona na wieki wieków, amen. Nigdzie stąd nie wyjedziesz. Nie wygrasz z Syberią. Jesteś tu zakleszczona, rozumiesz? 82°55' to twoja życiowa współrzędna.

Nic nie odpowiedziałam.

Spojrzał na mnie.

– Jak ci się żyje w taki sposób?

– Słucham?

– Spytałem szczerze. Nieczęsto to robię. To nie przesłuchanie, towarzyszeko.

Kościej chuchnął mi w twarz śmiercią. Skrzywiłam się.

– Ja potrzebuję się osadzić w czasie – wyznał. – Jakimkolwiek. A ty masz za dużo ducha w jednym ciele. Proponuję uczciwą wymianę. Oddaj mi połowę duszy. Mój szkielet – Kościej zgiął powoli palce – potrzebuje czegoś żywego.

Mój oddech zamienił się w parę.

– Po co chcesz się osadzić w czasie? – szepnęłam.

– Co cię to obchodzi? Nie będzie ci się żyło źle.

– Ja wiem, że przynosisz zagładę.

– A ja znam ludzkie słabości.

Kościej Bezśmiertny wyciągnął dłoń w moją stronę.



Samochodem ponownie szarpnęło i cały świat wrócił do czasu.

Szutkina oderwała wzrok od rzeki, którą przekraczali. Odetchnęła.

Kirył Wazniecowa spojrzał na nią z troską.

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym.

W jej spojrzeniu Wazniecowa nie ujrzał nic poza stałą. Przełknął ślinę.

Zdawało mu się, że jej oczy miały wcześniej inny kolor.

Nowosybirsk uznaje się obecnie za najbardziej nawiedzone miasto Rosji. W końcu lat siedemdziesiątych pojawiły się plotki o zjawie w starym mundurze, a wkrótce potem rozpoczęła się seria niewyjaśnionych zdarzeń, opętań, chorób i wypadków. To niegdyś wielkie miasto stało się teraz ośrodkiem zamkniętym – choć nie brakuje śmiałków, którzy podejmują się wypraw i powracają z przerażającymi opowieściami.

Szutkina – określenie perfekcyjnie wykonanej choreografii baletowej. Nazwa pochodzi od nazwiska solistki baletowej, która karierę rozpoczęła w Moskwie pod koniec lat siedemdziesiątych. Technika Szutkiny była do tego stopnia fenomenem, że niektórzy krytycy podejmują spór o to, czy tak wielka precyzja nie odebrała jej tańcowi duszy.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka

Korekta: Ilona Skrzypczak, Paweł Sadowski, Kaja Jaroszevska, Maciej Sznurkowski

Weryfikacja: Magdalena Kowalewicz, Patrycja Pancierz, Anna Maria Kottas, Jakub Węgrzynowski, Damian Szandecki

Sczytywanie: Ilona Skrzypczak

MUNGO

Zuzanna Kania

Mungo Smith upadł na kolana, gdy wiatr po raz kolejny nagle zmienił kierunek. Tym razem wiał z zachodu, przyciskając biednego podróżnika coraz bardziej do ziemi. Na ramionach wędrowca, przykrytych jedynie niebieskim płaszczem, zaczął zbierać się lód tak krystaliczny, że każdy promień załamanego na nim światła tworzył swoją własną, malutką tęczę. Niesamowite, w jak pięknej scenerii można umierać.

Z czubków drzew spadły dwie wielkie czapy śniegu i w całości przykryły pochyloną sylwetkę. I byłby biedny Mungo zginął w tej puchowej trumnie, gdyby nie obca ręka wyciągnięta w ostatnim momencie.

– O bogowie – wyszeptał podróżnik, tracąc oddech.

– Na co tak wielkie słowa? – usłyszał w odpowiedzi. – To przecież tylko wiatr. Tylko zmiana ciśnienia.



Dom był miejscem, do którego Mungo najczęściej wracał we wspomnieniach. Spędził w nim wystarczająco dużo czasu, by zrozumieć wyjątkowość tej krainy najróżniejszych istot i bogów. W dziewiczych lasach Domu żyły magiczne stworzenia, dzikie ptaki i inne wspaniałe zwierzęta. Drzewa pięły się po samo niebo, a każdy liść mienił się swoim własnym niesamowitym kolorem. Także łąki stanowiły dla fauny istny raj.

Stała tam również Studnia. Niewielka, kamienna, zdecydowanie przestarzała jak na możliwości mieszkańców Domu. Ale pod jednym względem wyjątkowa: gdy któryś z bogów, pchany pragnieniem, przybywał pod swoją ludzką postacią, aby zaczerpnąć wody, miał szansę spotkać zwykłych śmiertelników. A bogowie uwielbiali takie spotkania – bo kto inny byłby w stanie docenić historie o heroicznym walkach i przejawach altruizmu, jeśli nie najzwyczajniejsi ludzie?

Studnia stanowiła dla wszystkich centrum życia. Krążyły plotki, że niekiedy nawet zwierzęta przychodzą do niej, by wysłuchać opowieści. Z drugiej strony mogły po prostu chcieć się napić, bo ta woda naprawdę była warta zachodu.



Mungo poderwał się z łóżka z zaschniętymi ustami i silnym pragnieniem. Leżał w cudzej pościeli, w nieznanym pokoju gdzieś na drugim krańcu świata. Pojedyncze promienie słońca przebijały się przez zakurzoną szybę i padały prosto na jego policzki. Pod sobą miał wygodny materac, a nad głową – dach. Trzeba było jeszcze tylko poznać gospodarza.

Niewielkie drzwi, wystarczająco jednak dla Munga wysokie, prowadziły na krótki korytarz. W zielonych ścianach tkwiło mnóstwo wieszaków. Do każdego umieszczonego na nich płaszcz dało się dopasować parę butów ustawionych równo na podłodze. Tabliczka przy wejściu głosiła „Boffin Bracegridle zaprasza na Walne Zgromadzenie”. Budynek widocznie był miejscem publicznym.

Mungo ostrożnie wszedł do pomieszczenia. Członkowie Walnego Zgromadzenia wydawali się tacy sami: jasnoskórzy i złotowłosi. Każdy siedział boso na małym dywaniku, z nogami założonymi w identyczny sposób jak pozostali. Trudno było rozpoznać, kto jest mężczyzną, a kto kobietą, nawet wyrazy ich twarzy zdawały się jednakowe. Różniła ich tylko wymyślność strojów – ale pod tymi wstążkami i cekinami wszyscy przywodzili na myśl jedną, bezmyślną masę.

Już na pierwszy rzut oka Mungo odstawał od miejscowych. Ze swoimi czarnymi lokami i cerą pełną piegów wyglądał jak przybysz z obcej planety.

– Dzień dobry – przywitał się nieśmiało.

Zebrani natychmiast zwrócili wzrok w przeciwległą stronę pokoju, gdzie stał jakiś pulchny człowieczek z gęstą brodą.

– Poczekaj chwilę na zewnątrz, proszę – powiedział, pokazując drzwi.

Mungo nie wiedział, jak bardzo „na zewnątrz” powinien wyjść, więc tylko skłonił głowę i udał się na dziedziniec. Stamtąd wypadł na ulicę, w sam środek chaotycznego tłumu.

Ani jego szpitalna koszula, ani próby nawiązania kontaktu nie zwracały niczyjej uwagi. Mungo próbował zaczepiać przechodniów, przywitać się, ale wszyscy ci blondyni szybko odwracali głowy i szli przed siebie trochę zwawszym krokiem.

Zanim Mungo skończył przedstawiać się jednemu z nich, w jego miejscu pojawiało się trzech kolejnych, a każdy w bardziej wymyślnym stroju: buty na obcasie wyższym od łydki, kapelusz szerokości chodnika czy parasol, spod którego kapala woda – a wszystko to zdobione tysiącami błyskotek.

Wydawało się, że żadnego z nich nie zainteresowałaby historia o morderczej podróży i życiu bogów, gdy Dom jeszcze istniał. Tutaj ważne były tylko te frędzelki i guziczki, za którymi ludzie biegali cały dzień. Bo dokąd mogliby się tak spieszyć? Na każde „Witam” i co drugie „Dzień dobry” odpowiadali w końcu:

– Spieszę się.

– Nie mam czasu.

– Przepraszam, muszę iść.

Nigdy za to nie odpowiadali na pytanie „Dokąd?”. Tylko raz Mungo usłyszał odmienne słowa, niestety nie takie, jakich się spodziewał.

– Ty jesteś inny – powiedział jeden z dziwnych blondynów, pokazując jego piegi.

– A wy wszyscy tacy sami! – krzyknął podróżnik ze złości. Momentalnie zaczął żałować swojego wybuchu, więc odwrócił się na pięcie i odszedł od rozmówcy, by ten go nie zapamiętał. – Przepraszam – rzucił jeszcze w biegu.

Co on sobie wyobrażał? Nie wychowano go, by krzyczał bez powodu na przypadkowych ludzi.

Szedł przed siebie szybkim krokiem, snując plany, jak stąd uciec, gdy nagle wpadł na kogoś z przechodniów.

– Przepraszam – powtórzył, podnosząc głowę tylko po to, by zobaczyć tam dokładnie tę samą osobę, na którą nakrzyczał ledwie minutę temu.

– Ty jesteś inny – usłyszał kolejny raz. Palec wymierzony w nos niesamowicie kusił, by go ugryźć.

– To jakaś paranoja – stwierdził chłodno Mungo, powstrzymując narastające w nim emocje.

Raz jeszcze rozejrzał się po twarzach przechodniów. Wszystkie z nich już widział!

Sprawiali wrażenie dość podobnych, ale tych strojów nie dało się pomylić.

Nie ruszał się z miejsca, a jeszcze trzy razy ujrzał kobietę w kamizelce odblaskowej, spacerującą pod rękę z mężczyzną w kolorowym szaliku owiązanym wokół głowy.

Człowiek, który wytknął Mungowi odmienność, zdążył zrobić to już sześć razy.

Światło w tunelu, ostatnia nadzieja na szczęśliwe życie po utracie Domu, okazała się jakimś chorym wariatkowem, gdzie wszystko działa się ciągle od nowa. Mungo marzył, by znaleźć wśród śmiertelników nowy dom, ale jak miał założyć rodzinę w miejscu, gdzie każdy spieszył dokądś, aby minutę później zapomnieć, dokąd szedł? Dziwne, że właśnie ta złudna nadzieja pchnęła go aż tutaj, setki mil, tylko po to, by teraz dać mu porządnego pstryczka w nos.

Choć była to dla Munga bardzo trudna lekcja, raz na zawsze nauczył się, by od ludzi nie oczekiwać zbyt wiele.

Zamyślony, spojrzął w górę na różowe obłoki przesuwające się po niebie. Nawet one były uwięzione w ciągłym pościgu za zachodzącym słońcem.

Nagle w polu widzenia Munga pojawiła się znajoma brodata twarz.

– Tak działa Miasto – powiedział Boffin, chwytając podróżnika za ramię swoimi czterema palcami. – Za to chodnik działa tak, że od siedzenia na nim można dostać wilka. Więc wstajemy, szanowny panie.



Ludzkie życie nie powinno być wypełnione tułaczką. Ptaki wylatują z gniazd, lwy opuszczają stada, ale ludziom nigdzie nie będzie nawet w połowie tak dobrze jak w domu. Podróż jest dla nich zdecydowanie zbędna.

Ale nie dla Munga. Jemu podróż zbędna była jedynie w połowie, bo i sam Mungo był jedynie w połowie człowiekiem.

To właśnie ta połowiczność stanowiła przyczynę jego tułaczki. W chwili, gdy Ostatni Wielki Bóg zmarł z wycieńczenia po walce z Przedostatnim Bogiem, miejsce zwane kiedyś Domem nagle zniknęło. Świat opierający się na boskim majestacie momentalnie uległ załamaniu, upadł bez swojego fundamentu i porzucił zagubionego półboga spośród niczego.

Mungo nie miał już dokąd wracać, nie miał też gdzie zostać, bo otaczały go wyłącznie marne pozostałości tak wspaniałej niegdyś potęgi. Mógł tylko iść naprzód, zostawić za sobą ruiny pałaców i świątyń – świadków gniewu, rozpacz i żalu przelanego w zemście za krew najbliższych.

A trzeba było tak niewiele. Pojedyncza kłótnia niosąca wystarczająco złości, by zmieść z powierzchni ziemi całe miasta. Potem siła, która w nieodpowiednich rękach okazała się zbyt dużą odpowiedzialnością. Siła, która niestrudzenie wypierała wszystko, co próbowało ją powstrzymać, po to tylko, by całą tę historię zakończyć łzami. Taki jest koniec tego, co zaczyna się od pierwotnego instynktu.

Właśnie te najbardziej ludzkie odruchy najczęściej pozbawiają człowieczeństwa.



– Miasto? – zapytał Mungo.

– Miasto przez duże „M” – potwierdził z dumą Boffin. – Ostatnia ludzka osada na północ od Rasperfield.

– Patrzę na nie, muszę powiedzieć, że nie jest zbyt ludzkie.

– Dlaczego tak sądzisz? Przecież nie ma na świecie rzeczy bardziej człowieczej.

– Nie takich ludzi znałem.

– Widocznie nie znałeś ich zbyt dobrze. Spokojnie, im też się tak tylko wydaje.

– Co ma pan na myśli?

Brodacz nie odpowiedział. Spojrzał w stronę okna – było niewielkie i okrągłe, i tak jak on istniało tu od zawsze.

Boffin nie pamiętał, jak zjawił się w Mieście. Po prostu zawsze tam był. Może się w nim urodził? Na pewno nie on je stworzył. Przecież gdyby tak było, potrafiłby przerwać Pętlę.

Pamiętał za to dokładnie wszystkie wydarzenia, które nastąpiły po jego przybyciu.

– Nie było cię tu wcześniej. Nie widziałeś ani jednej wojny.

– Widziałem o jedną za dużo. Odpowiedz na moje pytanie – naciskał Mungo.

– Nie wiem, czy zrozumiesz. Oni nie potrafią.

– Nie jestem jak oni.

Nie dało się być jak oni. Mieszkańcy Miasta tworzyli jedną, bezmyślną całość kierowaną przez Boffina. Starego, samotnego Boffina.

Ale kto tak naprawdę zwariował w tym świecie?

Boffin myślał, że jest jedynym człowiekiem wśród szaleńców – a może to on był jedynym szaleńcem wśród ludzi?

– To okropna rzecz.

– Prawie jak ignorowanie innych. Odpowiedz.

– „Innych” to słowo-klucz. Dla nich każdy jest inny, wyjątkowy. Czasami gorszy. A jak gorszy, to trzeba się go pozbyć. Ostatniej nocy przed Pętlą wszystko do tego sprowadzono: trzeba było się ich pozbyć. Nawet nie mieli czasu spojrzeć im w twarz.

– Bali się dostrzec swoje odbicie.

Zapadła cisza. Obaj byli świadomi, że rozmowa zmierza donikąd. Z jednej strony Mungo miał wiele pytań, z drugiej – Boffin nie udzielał na nie odpowiedzi.

Brodacz nie do końca pamiętał, jak porzucono go w Mieście – zostawiono samemu sobie, bo widocznie nie był dość dobry, by mieszkać w Domu. Zagubiony, tak jak teraz Mungo, trafił tutaj, do śmiertelników, by latami szukać wśród nich normalności. Jedyne, co znaleźli, to szaleństwo, narcyzm i chaos.

Nie on stworzył Pętłę – to zrobił jeden z Wielkich Bogów. Przecież żaden półbóg nie miałby aż tyle siły.

– Czyli Miasto to strach? – przerwał milczenie Mungo.

– Nie. Skąd taki pomysł?

– Powiedziałeś, że nie ma rzeczy bardziej człowieczej.

Boffin potrzebował chwili zastanowienia. To, co rzekł czarnowłosa chłopaczek, brzmiało tak niedorzecznie! A jednak to strach stworzył Miasto. To człowieczy strach zapętlił się w tym miejscu, bo ludzie bali się stracić nawet odrobinę czasu.

Prawda była taka, że w ciągłym biegu nawet nie zauważyli zmiany. Wciąż było im mało. Nawet nie wiedzieli czego; wiedzieli tylko, że mało.

Taka już jest ludzka natura – bardzo szybko się uzależniają. A miłość to największy narkotyk, zwłaszcza do tych guziczków, frędzelków!

– Czuję się mocno rozczarowany – powiedział Mungo.

– Jeśli chcemy żyć między ludźmi, trzeba przygotować się na wiele rozczarowań – odparł zrezygnowany Boffin.

Znowu zrobiło się cicho. Żaden już nie musiał nic mówić, rozmowa dobiegła końca.

Teraz, gdy w jednym pomieszczeniu siedziało dwóch półbogów, można było stwierdzić, że to prawie jak jeden bóg. Może tym razem byłiby w stanie wyrwać się z Pętli?

Dlaczego ludzie nigdy nie myślą o konsekwencjach? Prosimi, by zatrzymać ich czas, by już się nie starzeli, by mogli dążyć do perfekcji, nie zważając na upływające lata. Chcieli pozbyć się „niedoróbek”. Błagali o zatrzymanie tykającego zegara życia, bo bali się, że nie zdążą przed śmiercią.

Tylko czego się bali? Na pewno nie chorego świata, w którym jedyna świadoma jednostka skazana była na wieczne cierpienia. Nie ma grzechu,

którym można sobie zasłużyć na taki los, ani człowieka, który przetrwa to wszystko o zdrowych zmysłach.



Mungo poderwał się z łóżka z zaschniętymi ustami i silnym pragnieniem. Cudza pościel przyjemnie przykrywała jego ciało. Odrzucił kołdrę i wyszedł na niewielki korytarz, by zaraz później znaleźć się w pokoju pełnym nieznanym.

Dziwne jasnowłose istoty spojrzały na niego. Speszony sytuacją, przywitał się, jednak wszystkie głowy odwróciły się od niego.

– Poczekaj chwilę na zewnątrz, proszę – rzekł najmniejszy z nich, stojący pod ścianą.

Mungo spełnił jego prośbę i wyszedł na korytarz. Potem wypadł na ulicę pełną jasnowłosych istot, takich jak te, które zignorowały go jeszcze przed momentem. Teraz jednak wyglądały całkiem inaczej. Te stroje! Te guziczki, frędzelki!

Chwilę później Mungo siedział na chodniku, rozmawiając z brodaczem.

Jak on miał na imię?

Mungo poderwał się z łóżka z zaschniętymi ustami i silnym pragnieniem.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka

Weryfikacja redakcji: Patrycja Gil, Magdalena Kowalewicz

Korekta: Kinga Grodzka, Katarzyna Płońska, Kaja Jaroszevska, Dominika Świątkowska

Weryfikacja: Aleks Gapski, Anna Twarowska, Ilona Skrzypczak, Michał Gola, Anita Brzozowiec

Szczytywanie: Ilona Skrzypczak

ŚWIADOMOŚĆ ŻMII

Mika Modrzyńska

I

Serce żmii pod kwiecistą maską

Przyglądasz się sztucznym obłokom na niebie po drugiej stronie.

Masz tylko kilka chwil, dokładnie dwa przystanki, nim ta rozrywka dobiegnie końca, a twoje myśli będą musiały wpaść w wyznaczony tor i sklecić się w idee, dokładnie zaprojektowane ciągi przyczynowo-skutkowe.

Po tramwaju chodzi kanar; mija ciebie, pocziwego oficera, nie czeka na bilet. Zamiast tego zabiera się za sprawdzanie grupy nastolatków, wulgarnie pokrzykujących coś o krytyce krytycznej krytyki. Pojazd zatrzymuje się ze zgrzytem, a młodzi wyskakują na zewnątrz, zostawiwszy mężczyznę z niewypisanym mandatem w dłoni.

Słońce na ekranie przed tobą schowało się za chmurami. Patrzysz na przystanek po drugiej stronie pikseli, pełen zabawnych prawie-ludzi, tłuściutkich i niezdarnych, kręcących się chaotycznie po dostępnym im kawałku świata. Znikają, gdy tramwaj rusza.

Marszczysz brwi. Kilka osób, najwyraźniej najwytrwalszych, zaczęło ścigać się z maszyną. Nim dobiegli do kolejnego przystanku, rozpadało się na dobre. Patrzysz na zawieszonych w czasie, zamkniętych w niewidzialnej klatce prawie-ludzi i myślisz o tym, jakie masz szczęście, że znajdujesz się po właściwej stronie ekranu.

Tramwaj wciąż jeszcze stoi, gdy dostrzegasz mnie – młodą kobietę stojącą z dala od reszty grupy. Mam czerwoną sukienkę i czerwone usta, a złote włosy wiją się wokół mojej twarzy. Tak bardzo różnię się od reszty prawie-ludzi, od szarych stworzeń o bezkształtnych ciałach i niezapadających w pamięć rysach!

Zauważasz mnie.

Unoszę głowę i spoglądam przed siebie; sprawiam wrażenie, że przyglądam się tobie. Co za śmieszna iluzja, myślisz.

Gdy tramwaj rusza, a ja macham do ciebie, niemal spadasz z siedzenia.



Myślisz o mnie cały dzień: o moich pełnych biodrach i krępej sylwetce, o czerwonej sukience i masywnych łydkach – badasz wspomnienie, za wszelką cenę chcesz odkryć, co ci umknęło.

Nie wiesz.

Nie pozwolę ci tak szybko zgadnąć. Musisz się trochę wysilić, oficerze, inaczej cały trud pójdzie na marne. Potrzebuję cię.

Idziesz do pracy, gotów tworzyć idee i paradygmaty, ale twój umysł się buntuje. Mimowolnie wracasz myślami do tamtej chwili, gdy moje ciemne oczy wpatrywały się w ciebie i jakby w ciągu jednej sekundy prześwietliły na wskroś każdy dzień twojej fantastycznej egzystencji. Ale przecież wcale nie wydawałam się zazdrosna o twój prawdziwy świat.

Dochodzisz do wniosku, że uległeś iluzji. Prawie-ludzie, nawet noszący czerwoną szminkę, nie widzieli ekranów. Każde dziecko o tym wiedziało.

Zakręcony ten twój sen, oficerze. Nic dziwnego – miałeś tysiąc lat, by stworzyć sobie rzeczywistość, którą nigdy się nie znudzisz. Kto to słyszał: dzielić ludzi na zwykłych i tych za ekranem? Jesteś uzależniony od obserwowania nas, stworzonek, które niemal na pewno nie są prawdziwe.

Myślisz o tym, że pomachałam do ciebie.

Oczywiście nie wierzysz w to, ale ziarenko zwątpienia zostało zasiane i dojrzało w twojej głowie cały dzień. Szef każe ci iść do domu.

Nie dziękuj.

– Nic z ciebie dzisiaj nie będzie. – Rusza wąsami.

Stworzyłeś go na bazie wspomnienia chomika, którego niechcący zabiłeś w dzieciństwie.

– Co się stało? – Ściągasz hełm.

Na ekranach wyświetla się bilans twoich myśli. Wpatrujesz się w wykresy z zaskoczeniem: zwykle równe, regularnie rozkołysane linie wyglądają dzisiaj, jakby powstawały w czasie burzy, pełne są krzywizn i nagłych skoków.

– Takich paradygmatów nie wykorzystam do niczego – stwierdza chomik, a jego ciemne oczy błyskają, nim znikną za fałdami tłuszczu.
– Idź do domu.

Wychodzisz, nie rozumiawszy, co się z tobą dzieje. Wracasz na przystanek. Z fascynacją obserwujesz, jak z każdym krokiem stajesz się coraz lżejszy. Twoje stopy zdają się niemal unosić nad ziemią. Analizujesz parametry swojego ciała – przyśpieszony puls, dziwny ścisk żołądka, rozbiegane spojrzenie i coś jeszcze... Coś ci umyka.

Dochodzisz do wniosku, że zostałeś uszkodzony. Potrzebujesz karetki.

Siadasz na wolnej ławce – do przyjazdu tramwaju zostało osiem i pół minuty – i wybierasz numer na pogotowie. Słyszysz sygnał, który reanimuje odległe wspomnienie, tak odległe, że nie zdawałeś sobie dotychczas sprawy, że wciąż masz je na składzie.

Na to liczyłam.

Dopiero przy pięćsetnej próbie, po wsiąknięciu w świat filozofów – jedyny świat, do którego miałam dostęp zza ekranu – udało mi się obudzić choć część twojego mózgu. Muszę się śpieszyć – zostało niewiele czasu, nim się rozbijemy, i ty, i ja, i wszyscy na statku.

Książka, którą czytała ci mama, gdy byłeś dzieckiem. *Mama*. Mama w czerwonej spódnicy i fartuchu, mama śpiewająca piosenki i czytająca Szekspira.

– Pogotowie, słucham?

*O serce żmii pod kwiecistą maską*³ – recytuje kobiecy głos w twojej głowie.

3 Ten i inne cytaty: W. Szekspir, „Romeo i Julia”, tłum. J. Paszkowski, Kraków 1913.

Mama?

Nieważne. Cóż to za słowa, nie wiesz? Skąd wzięty się w twojej głowie? Kładziesz dłoń na piersi i czujesz pod palcami serce, które wciąż bije zbyt szybko. Absurdalna metafora, która nie ma sensu... A może tylko tak ci się wydaje? Zamykasz oczy, by skupić się lepiej na śpiewie łomotaniu serca, a gdy i ten dźwięk cię męczy, wsłuchujesz się w otaczające cię głosy – skowyt tramwajów kołyszących się na szynach, warkot samochodów nad naszymi głowami, szepty starszych osób. Czasem z nieba z głuchym łopotem skrzydeł spada gołąb strącony przez latające maszyny.

– Halo, panie oficerze? – powtarza dyspozytor z naciskiem. – Proszę sobie nie robić żartów!

– Przepraszam – mówisz i z zaskoczeniem rejestrujesz brzmienie własnego głosu: ochryple, dobiegające z daleka słowa. – Już wszystko w porządku.

Dyspozytor się rozłącza. Siedzisz na ławce nieruchomo przez kolejne cztery minuty, aż do przyjazdu tramwaju. Wyciszasz się i prawie słyszysz, jak twoje serce... nie! – jak serce żmii śpiewa.

Mija kolejnych sto prób. Sto straconych minut. Zawiodłam; wspomnienie mamy nie wybudza cię ze snu. Gdy wracasz do domu, uspokajasz się i nowo odkryty głos w twojej piersi zamiera.

Muszę próbować dalej.

II

Smok w pięknym lochu

Każdy z nas wymyślił sobie swój własny sen, by przetrwać hibernację. Ja śniłam o największej bibliotece świata. Czy to nie idealne miejsce, aby już nigdy się nie nudzić?

Ostatnim, co miałam w dłoni, gdy błąd systemów alarmowych wyrwał mnie z hibernacji, była rozprawa Karola Marksa. Minęło kilkaset prób, zanim zaczęłam szukać rozwiązania naszego problemu w przeczytanych książkach. Marks twierdził, że życie jest determinowane przez świadomość.

Nie wiem, czy miał rację, ale próbuję dotrzeć do ciebie. Wejście w twoją iluzję to nie problem – ale jak cię obudzić?

Musisz wyrwać się z tego snu, bo inaczej wszyscy umrzemy. Rozumiesz?

Czekam, aż wsiądziesz do tramwaju i zajmiesz swoje miejsce, na lewo w trzecim rzędzie od końca. Podchodzę do szyby i pukam w nią.

– Pomóż mi – mówię.

– Kim jesteś?

Kładę dłonie na szkle i powtarzam:

– Pomóż mi.

Tramwaj rusza.



Uciekłeś z pracy! Jestem z ciebie dumna.

No dobrze, może nie tak znów dosłownie uciekłeś. Powiedziałeś szefowi, że źle się czujesz. To wystarczy. Znajdziesz mnie?

Znajdź mnie, proszę.

Poznałam tego jednego filozofa, który mnie rozumie. Nazywa się Hegel. Zajęło mi to tysiąc siedemset prób. Tysiąc siedemset minut. Hegel mówi, że walka determinuje życie. Zawalcz o mnie i obudź się.

Obudź się dla nas wszystkich.

Snujesz się jak duch po mieście, od ekranu do ekranu. Niektóre z nich są rozmiaru telebimów, a ludzie zasiadają przed nimi jak kibice w czasie meczu. Krzyczą za każdym razem, gdy dzieje się coś ciekawego.

Zachodzisz do małej kawiarni. Tłoczno tu, znacznie bardziej, niżbyś się spodziewał w środku dnia roboczego.

– Kawę z mlekiem.

Siadasz przy barze i patrzysz na kibiców stłoczonych wokół ekranu.

– Dziś rycerz będzie walczyć ze smokiem o kobietę w czerwieni – wyjaśnia kelnerka.

Gdy rycerz pojawia się na ekranie, widzisz własną twarz. Dziwne. Nikt inny nie zauważa nic niepokojącego... A jednak on ma twoje rysy, twój nos, twoje oczy, twoje usta.

Wybiegasz z kawiarni, nie zapłaciwszy za kawę, i wpadasz prosto na mnie, kobietę w czerwieni. Już pamiętasz – pochodzę z ilustracji w książce, którą w dzieciństwie czytała ci matka.

– Oficerze – mówię – musisz się obudzić.

Chwytam twoją rękę i uśmiecham się ciepło, choć umieram z niepokoju. Nie ma czasu. Musisz zrozumieć. Opuścić świat iluzji.

Zaczynasz się cofać w głąb kawiarni. Nie, nie, nie!

– *O serce żmii pod kwiecistą maską!* – mówię z nadzieją, że rozpoznasz ten kod. – *Kryłże się kiedy smok w tak pięknym lochu?*

Zamierasz, ale jest już za późno. Strzały przerywają ciszę.

Leżę na bruku, moja sukienka w kałuży krwi, tworzę wielkie czerwone słońce na ziemi, na błękitnych kafelkach kawiarni i na szarym chodniku. Serce zamiera mi w piersi.

Kolejna próba zmarnowana.

Unosisz wzrok i widzisz swojego szefa w towarzystwie stróżów prawa.

– To ona – mówi.

Czy aż tak się boisz, kochanie?

III

Kruk w gołębich pierzach

Podjęłam dwa tysiące prób, byś się obudził, oficerze, byś mógł uratować nas wszystkich. Nasz statek niedługo się rozbije. Kończą mi się pomysły, a jeśli wierzyć kokpitowi, jesteśmy w połowie drogi do nieznanego obiektu, do czegoś wielkiego, czego nie miało tam być, gdy planowaliśmy tę trasę.

Pozostają mi dwa tysiące prób, nim wszyscy zginiemy.

Znów biegnę za tramwajem. Zapominasz, kim jestem, czy coś ci zostaje pod tą łysą kopułą? Zachwygam cię, owszem, ale twoje oczy nie błyszczą tak, jak wtedy, gdy kogoś rozpoznajesz.

Po raz setny spotykamy się w kawiarni.

– *Naturo, kiedyś taki duch szatański w raj tak pięknego ciała wprowadziła?* *Byłaż gdzie książka tak ohydnej treści w oprawie tak ozdobnej?* – pytam, wciskam ci w dłoń tom Szekspira i uciekam, nim twój szef mnie zastrzeli.

Obserwuję przez ekrany, jak otwierasz książkę i odkrywasz na pierwszej stronie dedykację pisaną przez twoją matkę. Odnalezienie jej wymagało ode mnie kilkuset prób spędzonych w interfejsie. Zdjęcia z telefonu zsynchronizowały ci się w chmurze. Wpadłam na nie niechcący.

Mój sen, sen biblioteczny, urwał się przedwcześnie. Pamiętałam słowa Hegla. Najpierw definiujemy siebie, a potem walczymy o zajęcie należnego nam miejsca w świecie. A więc znalazłam ci tę książkę z dzieciństwa, żebyś sobie przypomniał o życiu poza snem.

Och, wiem, filozofów nie traktuje się dosłownie. Jestem jednak tylko głupiutką blondynką i gram *va banque*.

To była trzy tysiące osiemset trzydziesta pierwsza próba.

Po powrocie do domu stajesz naprzeciwko ekranu w przedpokoju. Jego dolne krawędzie giną w stosie identycznych butów. Uśmiecham się do ciebie.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – pytasz na mój widok.

Mam łzy w oczach i nie mogę wykrztusić ani słowa.

Jednak coś zostaje w twojej głowie – po raz pierwszy przełamujesz zabezpieczenia.

Fragmenty Szekspira, wspomnienie matki.

Kobieta w czerwonej sukience.

Słyszysz mnie. Nareszcie!

– Obudź się, oficerze – mówię.

Mdlejesz.



Ściągam interfejs do inwigilacji snów i wpatruję się w bezkres wszechświata. Bardzo dosłownie, bo jedyne, co widzę z pulpitu pilotów, to gwiazdy w czarnej jak smoła przestrzeni.

Kosmos jest przytłaczająco ciemny; wcale nie taki, jak sobie wyobrażałam kilkaset lat temu, gdy opuszczaliśmy Ziemię.

Interfejs pokazuje, że jesteśmy sto sześćdziesiąt dziewięć minut od rozbicia się na jakimś ciele niebieskim. Mówi głośno i czerwonymi literami.

Rzucam okiem na towarzyszy podróży zahibernowanych w swoich kapsułach. Posyłam oficerowi Jamesowi Kirkowi, głównodowodzącemu tego statku, pełne niechęci spojrzenie.

Cholera jasna, jestem tylko głupią blondynką, która ma rodzić dzieci na obcej planecie! Dlaczego spośród tysięcy kolonizatorów program obudził akurat mnie? Ilekroć dotykam tych przeklętych guzików, stacja podnosi wrzask. Choćbym chciała, nie potrafię zmienić wyznaczonego kursu.

Niech to wszyscy diabli.

Zakładam interfejs i znów wchodzę w twój sen. Sto sześćdziesiąt osiem prób do końca.

Uratuj nas, oficerze.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka

Korekta: Paulina Szedler, Agnieszka Stawarczyk, Kaja Jaroszevska, Paweł Sadowski

Weryfikacja: Martyna Kurowska, Patrycja Gil, Magdalena Kowalewicz, Michał Gola, Damian Szandeki

Szczytywanie: Ilona Skrzypczak

MONOTONIA 8:11

Martyna Nowak

Otworzyła oczy i wbiła wzrok w sufit. Leżała jeszcze przez kilka chwil, po czym, przy akompaniamencie skrzypiącego materaca, dźwignęła się z łóżka. Jej bosa stopy stąpały po podłodze, plaskając cicho przy każdym kroku. Przelotnie zerknęła na zegar, bardziej z odruchu niż z rzeczywistej potrzeby. Westchnęła, ale świat zdawał się puścić tę niemą skargę mimo uszu. Ósma jedenaście, znowu. Albo miała bardzo precyzyjny zegar biologiczny, albo... No właśnie. Albo co?

Ubrała się – jak zwykle – w niebieski sweter, zjadła – jak zwykle – nieco przypaloną jajecznicę. Wzięła plecak i wyszła z domu. Jak na przedwiośnie przystało, wszędzie wokół panowała szarość. Nagie gałęzie, zamarznęta ziemia i rachityczna mżawka, jakby pogoda wahała się, czy zafundować światu ulewę, czy może tym razem oszczędzić sobie łez – wszystko to wprawiało w doprawdy ponury nastrój. Anemiczność środowiska wręcz biła po oczach.

Na pewno było tuż przed wiosną? Czy może trwał właśnie listopad zapowiadający zimę? Rachuba czasu dziewczyny już dawno zaczęła zanikać.

Czy w świecie, w którym zawsze znasz godzinę, w ogóle da się stracić świadomość upływającego czasu?

„Jakiego czasu? Upływającego? Dobry żart” – zaśmiały się pierwsze, a może ostatnie w tym roku liście.

Nadjechał autobus, rutynowo opóźniony o dwie minuty. Wsiadła do niego i zajęła swoje ulubione miejsce przy oknie – wiecznie wolne, jakby czekające specjalnie na nią. Mijała warszawskie ulice, wszystkie takie same. Samochody widmo. Budynek, ale nie domy. Ludzi, ale nie osoby. Wzdrygnęła się. Ich mętne, obojętne oczy raziły ją dojmującą szarością i apatią.

Czy ludzie zawsze tacy byli? Czy miejsce przy oknie zawsze czekało wolne? Czy kwiaty zagospodują jeszcze kiedyś na świecie skutym zmarzliną?

Gdy tylko przekroczyła próg szkoły, natychmiast pochłonęło ją falujące morze lepkich ciał. Zbita masa ludzi przytłaczała, przyprawiała o mdłości. I mimo że budynek był wręcz przepelniony uczniami, mimo otaczającego ją kłębu ubrań, skóry i potu, w najgłębszych czeluściach duszy czuła się niezmiernie samotna. Dziwne, ale w tej monotonii sterującej jej życiem było coś intrygującego. Jednak gdy tylko zastanawiała się nad tym bardziej, coś znów ściągało ją do przyziemnej rzeczywistości.

Wracala do domu – tym samym autobusem, przy tym samym oknie. Następnie oglądała telewizję, choć miała wrażenie, że przewijające się po ekranie obrazy widziała już tysiące razy. A potem szła spać.

Wrażenie, że czas się zatrzymał, że utknęła w pętli, nie mijało ani na chwilę.

I tak każdego dnia. Tydzień w tydzień. Miesiąc w miesiąc. Do znudzenia i bez końca.

Ale najstraszniejszy w tym wszystkim był zegar. Jego wskazówki ani drgnęły. Zegar, który zawsze, ale to zawsze – czy to rano, czy w samo południe, czy w środku nocy – wskazywał tę przeklętą ósmą jedenastkę.

Bo dla niej czas rzeczywiście się zatrzymał, kiedy pewnego dnia w jej poranny autobus z impetem wjechał samochód, a ona utknęła w tym zapętlałym się, długim, bardzo długim śnie.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka

Korekta: Kinga Grodzka, Aleksandra Buczyńska, Kaja Jaroszevska,
Katarzyna Płoińska

Weryfikacja: Patrycja Gil, Joanna Gasińska, Magdalena Kowalewicz,
Damian Szandecki

Szczytywanie: Ilona Skrzypczak

ROYAL CASINO CLUB

Wiktor Orłowski

Mój przyjaciel Aldous Sholto był najbogatszym facetem na świecie.

Sprostujmy: jako właściciel sieci sklepów z importowanym żarciem inkasował roczny dochód rządu stu tysięcy funtów, więc mógł liczyć co najwyżej na miano „finansowo stabilnego Anglika”, ja jednak wiedziałem, że posiadał coś cenniejszego od pieniędzy.

Sholto miał czas.

Zawsze i na wszystko w takich ilościach, jakich tylko sobie życzył. Jego doba przypominała gumę, rozciągała się uprzejmie, ilekroć tego potrzebował. Tam, gdzie inni tonęli w wartkim nurcie życia, Sholto beztrzesko dryfował na powierzchni: prowadził biznes, podróżował, uczył się sześciu języków obcych naraz, uprawiał jogę i wciąż miał czas na niedzielnego brydża.

– Jak ty to robisz? – spytałem z zazdrością pewnego wieczoru, kiedy wypiliśmy już kilka szklaneczek single malt.

Płomień w kominku chciwie pożerał drewno. W blasku ognia uśmiech Sholto wydawał się odlany ze złota.

– Chcesz wiedzieć?

Chciałem.

Przesyłkę, która, ku memu zdziwieniu, dotarła jeszcze tego samego dnia, starannie zawinięto w czerwony papier. Rozdarłem go w pośpiechu i odsłoniłem duże drewniane pudło o wieku pociemniałym

ze starości. Nieczytelny symbol, niegdyś zapewne elegancki, zatarł się już zupełnie.

W środku znalazłem garnitur z czarnego weluru, parę butów i jedwabną koszulę przywodzącą na myśl czasy księcia Alberta. Pasowały idealnie. W głębokich, wykładanych satyną kieszeniach znalazłem dwa świstki – lakoniczny liścik, w którym Aldous nakazywał mi stawić się o północy na Soho, i staromodny bilet wizytowy wystawiony na moje nazwisko. Wykaligrafowano je eleganckim, pełnym zawijasów pismem, tuż poniżej nazwy nieznanego mi lokalu.

– Royal Casino Club – odczytałem szeptem.



Miejsce, do którego przyprowadził mnie Sholto, wyciągnięto z narkotycznych snów hazardzisty. Nie pamiętałem drogi, jaką przecież musieliśmy pokonać. Oprzytomniałem dopiero wtedy, gdy pozbawiony oczu szatniarz przyjmował mój płaszcz.

– Gdzie my jesteśmy, do diabła? – syknąłem przez zęby dzwoniące jak kastaniety.

– Za czystymi drzwiami percepcji – odparł Sholto i zachichotał, jakby to był przedni żart. – Chodź.

Główna sala tonęła w półcieniu. Pod sufitem zwisał kryształowy żyrandol w kształcie pająka. Fasetonowe odnóża łowiły blask niezliczonych świateł. Zadygotałem i spuściłem wzrok, bo wydawało mi się, że pajęczak się rusza.

Po bezkresnej połaci parkietu snuły się zjawy. Niektóre wydawały się utkane z dymu, inne wprost przeciwnie – na wskroś cielesne i realne. Obnażały otwarte jamy niekompletnych ciał. Wieloręki barman serwował drinki z prędkością atakującego lamparta. Goście sączyli je stłoczeni wokół automatów i stołów do gier.

Moje pojęcie o hazardzie – wyniesione z hollywoodzkich filmów pełnych pięknych kobiet i mężczyzn tracących fortuny – było żenująco kiepskie. Mogłem jedynie zgadywać, że przy okrągłych stolikach gra się

w pokera, a wysokie maszyny o obrzydliwie organicznych wypustkach to jednoręcy bandyci.

Kątem oka zauważyłem stół inny od wszystkich. Był olbrzymi, pokraczny i całkowicie czarny. Pod grubym blatem stłoczono klatki pełne przerażonych zwierząt. Na moich oczach jeden z graczy – rozmazana, zwalista postać pozbawiona rysów – z pietyzmem wybrał koguta. Krupier sprawnie wyjął zwierzę i skrzył mu kark. Bezładne truchło podrzucił wysoko w górę; poczułem falę mdłości, kiedy spadło na kredowe znaki i zaczęło błyskawicznie gnić, rozsiewając fetor.

Goście pochylili się nad trupem, podnieśli gwar.

– Grają w kości – wyjaśnił szeptem Aldous.

Pociągnął mnie w stronę prostokątnego stołu zasnutego zielonym sukniem – dużo większego od tych pokerowych – z wolno wirującym kołem u szczytu. Ruletka.

Graczy było niewielu. Od razu zwróciłem uwagę na kobietę w wieczorowej sukni, uśmiechającą się do Sholto. Zamiast rąk miała kłęby purpurowego dymu; jej ramiona, blade i piegowate jak u Irlandki, z chirurgiczną precyzją odcięto tuż poniżej pach. Przypominała Wenus z Milo.

– *Place your bets, please* – rzucił krupier. Jego głos, ochrypliwy i cichy, brzmiał jak skrobanie zardzewiałej żerdzi. – Czy ktoś z państwa chciałby dokonać wymiany?

– Sześć! – wyrwała się stara, przeraźliwie chuda dama.

Przy stole się zakotłowało.

– Cztery!

– Dwa!

– Sześć!

– A pan? – zapytał krupier, a ja pojąłem, że mówi do mnie.

Spojrzenie złotych oczu przeszło mnie, przyszpiliło jak owada w kolekcji entomologicznej. W jednej chwili poczułem się nagi i wiotki, złożony tylko z płatków łatwej do rozdarcia skóry. Zaschło mi w gardle.

– Ja wymienię za niego – powiedział jowialnie Sholto. – Poproszę osiem.

Krupier podał mi kanciasty żeton. Był gorący; pulsował jak wydarte żywcem ptasie serce. Goście otrzymali podobne, choć nigdzie nie widziałem pieniędzy.

– Aldous – szepnąłem. – O co tutaj się gra?

Uśmiechnął się szeroko.

– O czas.



Tamtej nocy wygrałem czterdzieści sześć godzin. Prawie dwie doby, których – jak dopiero wtedy zrozumiałem – rozpaczliwie mi brakowało.

Za namową Sholto po raz pierwszy od dawna nie nastawiłem budzika. Rano wstałem wypoczęty i pełen energii, ale zegarek wciąż pokazywał siódmą, nawet wówczas, gdy w spokoju obejrzałem wiadomości, zjadłem śniadanie i wyprowadziłem psa.

Do pracy dotarłem punktualnie i wyszedłem z niej chwilę później, mimo że uczciwie przepracowałem ośmiogodzinną zmianę.

Sam nie wiem, jak długo błąkałem się po parku, usiłując w myślach przetrwać wydarzenia minionej nocy. Gdy dotarłem do domu, nie było jeszcze dwunastej, chociaż przysięgłbym, że szwendałem się bez celu dobre pół dnia. Zrobiłem zakupy i ugotowałem obiad. Odebrałem syna ze szkoły, co nie zdarzyło mi się od dwóch lat. Do diabła, naprawiłem nawet pieprzony kran!

Zdążyłem zrobić to wszystko i wciąż zostało mi sporo czasu z puli wygranej w klubie.

Życie uległo diametralnej zmianie. W pracy nigdy nie zbijałem bąków, ale teraz szef był dosłownie zachwycony moimi wynikami. Wróciłem do uprawiania sportu, na co nie miałem czasu od końca szkoły średniej. Nadrabiałem zaległości w lekturze książek, po które mógłbym nie sięgnąć aż do emerytury. Zacząłem dbać o siebie, poświęcałem więcej uwagi rodzinie i tylko kilka razy w miesiącu, unikając wyjaśnień, wkładałem stary garnitur, po czym przez mrok ulic zalanych poświatą białej Tamizy szedłem do świata, w którym grało się o wszystko prócz pieniędzy.



Zapach tamtej nocy się zmienił. Nadchodziła wiosna; w głębi nie-So-ho spomiędzy płyt kryształowego bruku przebijały kruche, rozedrgane kwiaty o zębatych pyskach i gronach zaropałych oczu. Wilgotne chodniki lśniły, łowiąc blask sześciu księżyców, a ja miałem wrażenie, że ulica pełnie przed siebie jak lotniskowa platforma do transportu bagażu. Aż przystanąłem w szoku, kiedy pojąłem, że wcale nie mam racji.

To budynki się ruszały. Wysokie podbudówki, gładkie i podobne do ślimaczych nóg, konwulsyjnymi skurczami pchały gmachy do przodu. Domy zanosiły się zgrzytem kamienia szorującego o kamień, a z ich dachów kapłała deszczówka, niebieska jak napar z klitorii.

Ruch uliczny był bardziej ożywiony niż zwykle. Barwne zjawy pospiesznie zmierzały we wszystkich kierunkach. Tylko niektóre przypominały ludzi – kruchych jak azbest, o zapadniętych czarnych oczach – reszta stanowiła jedynie plątanie cieni. Czasem z impetem zderzały się i łączyły w gargantuiczne twory, a ich barwy mieszały się w pośredni kolor.

Wenus z Kasyna spotkałem na zbiegu ulic.

Stała w świetle latarni, widmowymi dłońmi podtrzymując szal. Tym razem nie zaplotła włosów w kok; spływały na kalekie ramiona falą żywej, ognistej miedzi.

Ani drgnęła, gdy pozdrowiłem ją ukłonem, miałem jednak wrażenie, że mnie śledzi. Spojrzenie jej fiołkowych oczu czułem na sobie aż do drzwi kasyna.

Tamtego dnia moja dobra passa się przełamała. W jeden wieczór przegrałem trzydzieści sześć tygodni.



Teczka pełna dokumentów z rozmachem wylądowała na biurku. Nawet nie podniosłem wzroku.

– Wiesz, co to jest, Crayton? – syknął Josh Abercrombie, kierownik mojego działu. Jego dobre dziesięć kilogramów nadwagi i przeredzająca

się czuprynka nie licowały z nazwiskiem. – Te sprawozdania miały być zamknięte miesiąc temu.

Milczałem.

Moje palce pląsały po klawiaturze w tańcu świętego Wita. Rozpaczliwie usiłowałem wystawić zaległe faktury z ostatniego miesiąca, modląc się, by nowe nie zawisły nade mną jak głodne sępy. Żołądek ssał, zwijając się w supeł – by nadrobić zaległości, odpuściłem sobie przerwę na lunch. Telefon na biurku nagle dostał drgawek, lecz go zignorowałem.

Josh huknął pięścią w blat.

– Słuchasz mnie, Crayton?

– Słucham.

– Gdzieś ty, kurwa, miał głowę?

Nie odpowiedziałem.

Tego dnia do domu wróciłem późno, tak nieładzko zmęczony, że nie miałem siły nawet pogłaskać psa. Powitały mnie zimna kolacja i urażone milczenie żony. Już kładąc się spać, wiedziałem, że nie dam rady funkcjonować w ten sposób.

Musiałem się odegrać.



Czekała na mnie u drzwi kasyna, owinięta szalem, z pionową zmarszczką między rudymi brwiami. Towarzyszyła mi bez słowa, kiedy rzuciłem szatniarzowi płaszcz i wbiegłem do głównej sali. Krupier o twarzy manekina powitał nas sztywnym ukłonem.

– Witam, panie Crayton – wyszeptał, ledwie poruszając wargami. – Czym mogę dziś służyć?

Dygotałem od stóp do głów, jakbym lada chwila miał dostać epilepsji.

– Chcę zagrać – rzuciłem. – Wymieniam miesiąc.

– *Place your bets, please.*

Dłońmi śliskimi od potu przygarnąłem żetony. Gracze nas obserwowali, dziesiątki par oczu utkwiły w moich plecach jak sople lodu. Szeptali. Śmiali się.

Jaki numer wybrać?

Boże święty, jaki numer?!

– Panie Crayton?

Z bijącym sercem przesunąłem dwa wysokie słupki na pola z numerami trzynaście i dwadzieścia sześć.

– Split na trzynaście i dwadzieścia sześć. *No more bets, please.* – Kulka w dłoniach krupiera podskoczyła i potoczyła się po kole ruletki, a ja dopiero teraz dostrzegłem, że jest wylupionym okiem: przekrwionym, wytrzeszczonym w wyrazie niemego błagania. – Zwycięski numer: czternaście.

Miałem wrażenie, że kopnął mnie w spłot słoneczny. Oburącz chwyciłem się stołu, aż zbiały mi kostki.

– Gra pan dalej?

Kątem oka złowiłem czerwony błysk. Ruda Wenus niemal niedostrzegalnie pokręciła głową.

– Gram – wykrztusiłem, przełykając żółć podchodzącą do gardła.

Żetony. Mam za mało żetonów.

– Chcę wymienić.

Krupier uśmiechnął się lekko.

– Pan Crayton, łącznie dwanaście miesięcy na *corner*. *No more bets, please.*

Skrzypienie wysłużonych mechanizmów koła. Dyskretny, mlaszczący odgłos wirującego oka. Głęboka cisza.

– Zwycięski numer: osiem. Gra pan dalej?

Bezwiednie skinąłem głową.

– Bardzo dobrze. Siedem lat na *six-line*.

Grzechot. Uśmiech manekina. Rozedrgane numery skaczące przed oczami, długie ciągi liczb niemożliwych do zrealizowania, sekundy, setki tysięcy sekund wirujących w kole ruletki, mój czas przepływający przez palce.

– Chcę wymienić.

– Myślę, że skończył pan grę, panie Crayton.

– Jesteś głuchy? – Podniosłem głos: – Mówię, że chcę wymienić!

Dotyk widmowej ręki na moim ramieniu był subtelny i zarazem solidny jak skała. Owionął mnie ciężki, duszący zapach kapryfolium. Zachwiałem się. Podtrzymała mnie, szepcząc wprost do ucha, i wyprowadziła z sali. Jej żelazny uścisk nie zelżał nawet wówczas, gdy, półprzytomny z szoku, wymieniałem w kasie ostatnie żetony na pozostały mi czas.

Eleganckie widmo zwróciło mój bilet. Jego martwe oczy były pozbawione cienia współczucia.

– Zostały panu dwa miesiące.



– Zostały panu dwa miesiące – powiedział lekarz, a ja nawet nie miałem sił się zdziwić, usłyszawszy diagnozę.

Tamtego dnia padał deszcz.

Wyszedłem z kliniki, nie zapinając płaszcza. Zimne strugi ściekały mi za kołnierz i zmieniały ściskany w dłoni papier w rozmięktłą papkę. Pamiętam, że zadzwoniłem wtedy do Sholto i zdziwiłem się, kiedy nie odebrał, bo przecież zawsze miał czas na rozmowy.

Kilka dni później dowiedziałem się, że zginął w wypadku. Powiedziała mi to ruda zjawa, snująca się za dnia splekanym chodnikiem w pobliżu Shaftesbury.

– Co z jego czasem? – zapytałem bez zaskoczenia, bo nie miałem już ani chwili, by móc się dziwić czemukolwiek. – Z tym, który wygrał?

Uśmiechnęła się wtedy smutno i powiedziała:

– Czas można tylko stracić.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Karolina Grzeszczak

Korekta: Karolina Grzeszczak, Kinga Grodzka, Kaja Jaroszevska, Ilona Skrzypczak

Weryfikacja: Magdalena Kowalewicz, Joanna Gasińska, Patrycja Pancierz, Jakub Węgrzynowski, Damian Szandeki

Szczytywanie: Ilona Skrzypczak

Fantazmaty działają non-profit od 2017 roku. To nasza dziesiąta antologia. Ponad 150 osób wolontariacko poświęca swój czas, byśmy mogli działać skutecznie i profesjonalnie. Chcemy, by nasze książki nadal docierały do każdego czytelnika w formie bezpłatnych ebooków i audiobooków, a kolejne darmowe poradniki pisania pojawiały się na stronie WWW.

Wiesz, że ty też możesz mieć swój wkład w Fantazmaty?

Zostań naszym Patronem.

Wspierając projekt, pomożesz nam utrzymać stronę internetową i opłacić koszt serwera, dasz nam możliwość pojawiania się nie tylko na konwentach, ale też na targach książki. Dzięki tobie więcej osób będzie mogło dowiedzieć się o Fantazmatach, a przez to spełnić swoje marzenie o opublikowaniu tekstów, wydać swoją twórczość przy wsparciu zaangażowanych redaktorów i korektorów, sprawdzić się jako ilustrator, przyłączyć się do zaangażowanego zespołu, zdobywać wydawnicze doświadczenie oraz przeczytać książki takie jak ta.

Zajrzyj na patronite.pl/grupawydawniczafantazmaty